

do kina, aczkolwiek do multipleksów chodzę wyłącznie w sytuacjach wyjątkowych. Zaczisnąwszy zęby, wybraliśmy się więc kiedyś z żoną na Scoop, gdy tylko wchodził w Polsce na ekrany. I było jeszcze gorzej: młodzieńcy nie tylko wychodzili po picie, lecz i z Allenowskich dowcipów się nie śmiali. Ostatnio zaś poszedłem na dokument o Marleyu, wyświetlany tylko na dwóch specjalnych pokazach. Przy kasie zobaczyłem parę, która prawie że urwała się z Tuwima: popatrywali, na co by tu pójść. I do głowy by mi nie przyszło, że reggae wywoła u mnie tyle agresji. Ale myślałem, że przyjdą dla Marleya, a przyszło sporo wygłodniałych adehadowców.

Jakiś czas temu procesował się Allen z liniami lotniczymi, które wyświetlały jego filmy w wersjach skróconych (bo czas od startu do lądowania był krótszy). A dzisiaj? Najnowszy film miał się nazywać Bop Decameron. Mówi Allen: „Tak, ale kto dzisiaj wie, czym był Decameron? Zmieniłem więc tytuł na Nero Fiddled. Wtedy mój producent dostał listy od dystrybutorów z całego świata, że nie wiedzą, co to znaczy. Skończyło się na To Rome with Love, mniej oryginalnie, za to zrozumiałe dla wszystkich”.

W Ad leones! u Norwida pewien artysta pracuje nad rzeźbą przedstawiającą dwoje chrześcijan oczekujących śmierci na arenie. Oczekiwania zaś (niektórych) odbiorców powodują, że rzeźbiarz – ironicznie? z konformizmu? – przemienia swoje dzieło w coś zupełnie innego. Amerykański dziennikarz jest zachwycony:

„Jaśniej okazanej i piękniejszej myśli dawno nie napotkałem... Grupa wyobraża KAPITALIZACJĘ w sposób i wyrozumowany, i przystępny...”

Woody’emu Allenowi przykładam Norwidem? Takie czasy.

•

Pewna rozmowa... i nasze lęki

Agata Araszkiewicz

W zeszłym roku mieszkałam kilka miesięcy w Warszawie i gdzieś w połowie lata, w wynajmowanym domku, wydawałam tradycyjną czwartkową kolację. Jeden ze znajomych, młody warszawski galernik, przyprowadził ze sobą gościa niespodziankę prosto z samolotu: był to odwiedzający go znajomy ze Szwecji, który wpadł na weekend do naszej stolicy. Rozmawialiśmy na różne przygodne tematy – moja przyjaciółka, znana rysowniczką, snuła wspomnienia, jak to będąc uczęszczającą do kościoła małą dziewczynką, urządziła protest przeciwko dyskryminacji płciowej w wyborze kandydatów na ministrantów. Zazdrościła kolegom pięknych strojów i możliwości uczestnictwa w rytualnych obrzędach, które miały charakter niedostępnego jej wtajemniczenia. Gdy ksiądz uległ w końcu jej naciskom, została ministrantką... jedynie do połowy mszy. Całe wtajemniczenie wydało jej się zwyczajnie nudne i nieskrojone na jej miarę, a na pamiątkę niefortunnej próby pozostał jedynie na miarę uszyty strój. W naszym antyklerykalnym gronie wywołało to serię uśmiechów – z jednej strony, potępialiśmy żartobliwie jej +

słomiany zapał, z drugiej – pojawiła się seria aluzji dotyczących wykluczenia kobiet z Kościoła. Jedyną osobą, która zachowała skrajną powagę, był gość ze Szwecji. Wiedzieliśmy, że pracuje jako rzecznik młodzieżówki Partii Zielonych w szwedzkim parlamencie, więc jego powściągliwość wzbudziła nasze zdziwienie. Młody człowiek odparł spokojnie, że jest osobą wierzącą i dodatkowo pracuje także jako edukator młodzieżowy przy jednej z większych sztokholmskich katedr, że w szwedzkim kościele pastorem może zostać zarówno lesbijka, jak i gej, i że on sam nie rozumie do końca sensu tej anegdoty. Zapadła chwilowa cisza...

Układy odniesienia naszego towarzystwa okazały się bardzo partykularne, a cały nasz progres jednak zacofany. Wznowiona po chwili rozmowa toczyła się w miarę gładko, aż zeszła na wtedy niedawne wydarzenia związane z norweską zbrodnią – terrorystycznym zamachem Andersa Behringa Breivika. Trzydziestodwuletni rosły mężczyzna w typie aryjskiego blondyna wymordował ponad 70 nastolatków na młodzieżowym obozie lewicowej Partii Pracy w okolicach Oslo. Nasze spotkanie wypadło zaledwie kilka dni po tym traumatycznym incydencie, a z medialnej burzy wywołanej horrorem zbrodni nie rozumieliśmy zupełnie jej przyczyn. Nasz szwedzki gość, poproszony o komentarz do tej makabry, powiedział jasno i wyraziście to, co wtedy było dla nas całkowitym zaskoczeniem: skandynawskie modele społeczeństwa otwartego, egalitarnego, w których promuje się równość płci (i gender studies w szkole podstawowej), tolerancję wyznaniową i etniczną (poprzez liczne akcje afirmatywne), mają swój kompulsywny *backlash* w postaci takich akcji, jak terroryzm nienawiści Breivika. Każdy progres ma swoją cenę. A chaotycznie przerażająca zbrodnia,

którą epatowały wtedy polskie media, jest po prostu precyzyjnie zaplanowaną akcją eksterminacyjną, w niewyobrażalny sposób boleśnie wymierzoną przeciw wszelkiej społecznej otwartości i inności. Było to tak szokujące, że ja osobiście nie mogłam uwierzyć w tak porażająco sprawczą moc nienawiści.

Dziś te wiadomości są już oczywiste i wyłożone dobitnie w Wikipedii: 22 lipca 2011 roku w elektronicznym dokumencie rozesłanym na godzinę przed czynem Breivik uznał się za „konserwatystę kulturowego” oraz „białego ultranacjonalistę”, który swym atakiem, określonym jako między innymi islamofobiczny i antyfeministyczny, broni chrześcijaństwa przed „Euroarabią” i multikulturalnością. Systematyczna, wykalkulowana zbrodnia dokonana z zimną krwią miała charakter fobicznej eliminacji symbolicznych przedstawicieli atakowanego, postępowego porządku. Wszystko jedno, że podczas procesu dyskutowano o poczytalności autora zbrodni – nawet miara jego szaleństwa oddaje tak silne napięcie społeczne, że zmusza nas ono do refleksji.

Nasza rozmowa potoczyła się dalej w kierunku tego, czym właściwie jest doświadczenie życia w tak zaawansowanym modelu społecznym (a o społeczeństwach skandynawskich mówi się, że są najbardziej postępowe na świecie), jak wpływa on na codzienne relacje i sposób funkcjonowania w przestrzeni publicznej. Z polskiej perspektywy pytanie to ma głęboki sens poznawczy – jesteśmy w okresie walki o przekucie naszego modelu społecznego w bardziej nowoczesny, egalitarny i postępowy. Jest to walka toporna, rozczarowująca i trudna, ale znamy swoich wrogów, gdyż są oni obecni w publicznym dyskursie i w politycznej praktyce (dosłownym ukoronowaniem symbolicznego starcia są coroczne już zamieszki związane z obcho-

dami Święta Niepodległości), wiemy mniej więcej, jakie siły dosyć chaotycznie się ze sobą ścierają. Zaangażowany w polityczną działalność szwedzki gość podał jako najbardziej wyrazisty przykład kwestie genderowe: uznał egalitaryzm płci za głęboko zintegrowaną rzeczywistość społeczną, która organizuje codzienną przestrzeń do tego stopnia, że wyklucza wszelkie przejawy przemocy czy opresji wobec kobiet. Podróż metrem staje się w takim porządku dla kobiety możliwością przebywania w przestrzeni całkowicie bezpiecznej i uwolnionej od ambiwalencji: wszelkie zaczepki, seksistowskie uwagi czy seksualne napięcia są z niej eliminowane przez napiętnowanie ze strony innych pasażerów i ogólną atmosferę braku przyzwolenia. Przy stole siedziała też z nami francuska kuratorka, która natychmiast zgłosiła sprzeciw: jak w tej sytuacji jest w ogóle możliwa historia uwodzenia i seksualnej dynamiki między płciami? Przecież w niej wiele rzeczy decyduje się w niedopowiedzeniu, wolności i przyzwoleniu. Jak właściwie wytyczyć uprawnioną powszechnie granicę między możliwością czegoś nieokreślonego a konkretnym nadużyciem? I czy wyostrzając normy, nie kastrujemy ich, prowadząc w nieuchronny sposób do frustracji, niezrozumienia i niespełnienia? Innymi słowy, czy postęp (zwłaszcza w tak delikatnej dziedzinie, jak relacje seksualne między tymi samymi lub przeciwstawnymi płciami) może być „organiczny”, jeśli ma go nadmiernie nadzorować – wszystko jedno, pisane czy niepisane – prawo?

W ten sposób w banalnej na pozór tonacji toczyła się rozmowa przy warszawskim stole, przy którym krzyżowały się różne głosy zjednoczonej Europy. Bo przecież tak zwana kwestia kobieca, rozumiana jako obyczajowe normy, walka z przemocą czy zespół praw reprodukcyjnych i zdrowotnych, jest żrenicą postępu oraz jedną z najbardziej zapalnych kwe-

stii nowoczesności. Świadczyć o tym może także inny szwedzki fenomen, który zdobył światowy rozgłos, a mianowicie kryminalna saga Millennium napisana przez Stiega Larssona (2005–2008). Jej intryga, wymierzona przeciw finansowym elitom społecznym, upleciona jest precyzyjnie wokół wątku przemocy wobec kobiet. Wskazuje na to wyraźnie już tytuł pierwszego tomu: *Mężczyźni, którzy nienawidzą kobiet*, a także kolejne tytuły, zwłaszcza w tłumaczeniu francuskim: *Dziewczyna, która marzyła o kanistrze benzyny i zapalce* (po polsku: *Dziewczyna, która igrała z ogniem*) oraz *Królowa w pałacu przeciągów* (po polsku: *Zamek z piasku, który runął*). Larsson, który jako dziennikarz zaangażowany był w walkę ze skrajną prawicą i nazistami (do tego stopnia, że wielokrotnie otrzymał śmiertelne groźby), w swej popularnej powieści daje – pomimo ograniczeń gatunku uciekającego się najchętniej do stereotypu – ideologiczny feministyczny przekaz: nawet najbardziej postępowy społeczny ład ma swoje podziemie pełne skrywanych, typowych i brutalnych zbrodni. Wyjątkowy sadyzm, z jakim pisarz w opisujących je scenach buduje napięcie, jest ujawnieniem niezwykłego potencjału przemocy drzemącej w owym społecznym podziemiu. W tym geście ujawnione zostaje także jak gdyby „ciemne podbrzusze” współczesnej Szwecji, którą pomimo otwartego społeczeństwa i dobrobytu wstrząsają niekiedy polityczne morderstwa, przemoc skrajnej prawicy czy skandale związane z turystyką seksualną. Choć z drugiej strony to może bardzo znamienne, że właśnie szwedzki autor dał światu tak popularny i kupowany masowo bestseller (Larsson był najlepiej sprzedającym się pisarzem na świecie w roku 2009), który obnaża seksualną przemoc i pokazuje walkę kobiet o własną podmiotowość pomimo niej. I zrobił to zapewne dzięki swojemu zawodowemu upolitycznieniu i zaangażowanej świadomości. +

„Kobieta jest łupem wojennym” – powiedział polski reżyser Wojciech Smarzowski podczas brukselskiej premiery swego ostatniego, głośnego w kraju, filmu *Róża* (2011). I zdanie to dla mnie wyznacza pewien symboliczny przełom w polskim mainstreamowym myśleniu o przemocy wobec kobiet, zwłaszcza w odniesieniu do martyrologicznego charakteru kultury polskiej. Smarzowski zrobił film wojenny, który jest antywojenny i polemizuje z prymatem militarnym polskiej wyobraźni, uprzywilejowując cywilną, „małą”, w tym wypadku kobiecą perspektywę. Jego dzieło poświęcone jest tematowi gwałtów wojennych podczas II wojny światowej na terenach Mazur, krainy niejednorodnej etnicznie (zamieszkaanej przez dawno spolonizowanych, kultywujących swą „mazurskość” Niemców i zasiedlanej przez repatriantów ze Wschodu). W sytuacji działań wojskowych – inwazji wojsk rosyjskich i oddziałów polskich – owa niejednorodność wyzwala eskalację przemocy wymierzoną głównie przeciwko osamotnionym na skutek wojny kobietom. W tym filmie żołnierze (i partyzanci) są przede wszystkim gwałcicielami, których czyny legitymizuje hasło „walki z wrogiem” i sama wojna jako fenomen oparty na triumfie przemocy. „Wszyscy są w nią zamieszani, żadna strona nie jest w porządku” – mówił po projekcji filmu reżyser.

Ale jeden bohater pozostaje krystalicznie czysty – to główna postać byłego AK-owca, którego nowa władza w końcu chwyta i wysyła na Syberię. To on na początku akcji jako uciekinier przybywa na Mazury, gdzie spotyka wdowę po niemieckim żołnierzu i, znajdując się w samym środku przemocy, niesie jej pomoc i opiekę, stając się jej kochankiem. W tym sensie film Smarzowskiego pozostaje opowieścią o męskim heroizmie (mit AK pozostaje tu nieskazitelnym – film ulega w tym jak gdyby historycznej, niejako PiS-owskiej,

polityzacji), który paternalizuje kobiety. Pozostają one obiektem męskich transakcji militarnych, a ich status „bezpodmiotowego łupu” nie zmienia się nawet także w czasach pokoju. Powracającego z więzienia bohatera witają gorące ramiona córki tytułowej bohaterki – Róży, która przed śmiercią (spowodowaną powtarzającymi się brutalnymi gwałtami) jak gdyby powierza córkę swemu wybawicielowi (sam wątek matczyno-córczanego „kazirodu”, czyli współżycia z jednym mężczyzną, ma swój dywersyjny potencjał, który jednak nie został tu wykorzystany). Pomimo ważnej próby zmierzenia się z symboliczną i dosłowną przemocą, jakiej doświadczają kobiety, opowieść ta nie staje się egalitarna, a jej bohaterki są ciągle jak gdyby dopełnieniem męskiej egzystencji.

Róża to ważny głos w polskiej debacie o micie wojny i o głębinowym rozumieniu fenomenu przemocy wobec kobiet. W tym sensie jest to film pionierski, ale emanuje z niego ciągle niepodmiotowe mówienie o kobiecie jako ofierze. Cierpienie kobiet, związane z ich podrzędną seksualną pozycją, wymaga ciągle męskiego adwokata i protagonisty. Równocześnie jako dzieło kinowe, skierowane do szerokich kręgów publiczności, jest pewnym osiągnięciem w przestrzeni publicznej, ponieważ przełamuje tabu milczenia i przyzwolenia. Jeśli chcemy budować bardziej otwarty społeczny model, potrzebujemy rozmaitych środków wyrazu (zarówno do tworzenia wizji, jak i ich analizowania), ponieważ to one świadczą o głębokich przemianach mentalnościowych i wyznaczają kierunki refleksji. Ale nic nie jest tu ani wygrane, ani dane z góry.

W tym sensie skandynawskie lęki to także nasze lęki. Każdy progres napotyka swój gwałtowny opór. Mniej lub bardziej zakonserwowana patriarchalna organizacja na-

szych społeczeństw powoduje, że kwestia kobieca (i opór, jaki ona budzi) jest ciągle jednym z kilku najważniejszych elementów probierza postępowości (tak jak prawa kobiet w Polsce były jednymi z pierwszych „ofiar” transformacji, wyznaczając jej konserwatywny charakter). Fenomen ten jest o wiele bardziej globalny i uniwersalny, niż mogłoby się wydawać. Media francuskie i belgijskie pod koniec lata obiegł pewien news, związany z lipcowym pokazem filmu dokumentalnego studentki brukselskiej szkoły filmowej Sophie Peeters, zatytułowanego *Femme de la rue* (czyli *Kobieta ulicy*, ale jest w tym tytule i aluzja do obiegowego określenia prostytutek jako „ulicznic”). Młoda kobieta sfilmowała ukrytą kamerą swój codzienny spacer w jednej z biedniejszych dzielnic Brukseli, gdzie na porządku dziennym są wyzwiska, zaczepki, dwuznaczne aluzje i propozycje. I mimo że w tej przemocy odnaleźć można echa napięć klasowych i rasowych, jej baza pozostaje stała – chodzi o kobiecą seksualność. Dzięki medialnemu rozgłosowi na początku września burmistrz Brukseli ogłosił przegłosowanie prawa do objęcia karą grzywny (do wysokości 250 euro) za publiczne wygłaszanie wyzwisk o charakterze seksistowskim, rasistowskim, homofobicznym i innym.

Równocześnie na półkach brukselskich księgarni pojawiła się książka dziennikarki Colette Braeckman, uznanej specjalistki od Afryki, o tytule *L'homme qui répare les femmes* (*Mężczyzna, który naprawia kobiety* – tytuł ten zawiera uderzające podobieństwo do struktury tytułów trylogii Larssona). Jej bohaterem jest znany lekarz ginekolog z Konga, doktor Denis Mukwege, który od 15 lat pomaga darmowo w klinice kobietom – ofiarom gwałtów i przemocy seksualnej (szacuje się, że miał około 30 tysięcy pacjentek). Wiele razy grożono mu śmiercią, a pod koniec października

padł ofiarą nieudanego zamachu, po którym ukrywa się w Belgii. Kongo, dawna belgijska kolonia, od 10 lat pogrążone jest w wewnętrznym konflikcie, który wywołał niespotykaną dotąd w tej kulturze eskalację przemocy wobec kobiet. Masowe gwałty stały się militarnym narzędziem prowadzenia wojny. Wedle niektórych statystyk, co druga kobieta padła ofiarą zbrodni na tle seksualnym, zdarzają się wśród nich także nastolatki, dzieci, a nawet niemowlęta. „W klasycznej wojnie to sami mężczyźni, i tylko oni, idą na front i giną – wyznaje w książce doktor Mukwege. – Kobiety zostają w tle, w wiosce, dalej rodzą dzieci z mężczyznami, którzy zostali. [...] Ale jeśli zniszczycie kobietę, zniszczycie całą społeczność. Chodzi tu o pewną strategię, tak systematyczną, że trudno mi dopatrzeć się w niej jakiegś przypadkowości”. Te spostrzeżenia są istotnym głosem w sprawie rozumienia fenomenu gwałtu jako narzędzia wojny (a definiuje się go tak zaledwie od czasu wojny na Bałkanach) w historii cywilizacji. Niepokojące jednak jest to, że ciągle na międzynarodowym forum bezimienne cierpienie kongijskich kobiet nie ma twarzy, choć w osobie doktora Mukwege – laureata licznych międzynarodowych nagród i kandydata do Nagrody Nobla, który poświęca im swój czas, wiedzę, ofiarą pracę, rozmawia z nimi i modli się, kiedy trzeba – to bezimienne cierpienie odnajduje swój męski pseudonim. ●